Listopad 2011

MAMMUTHUS MONTANUS

ssp. harnasiensis

178

PODORGAN MAMUTÓW SKPG „HARNASIE"

DZIEŃ Z ŻYCIA WŁÓCZYKIJA

CVRSNICA CZ. 2

Już wiem, że nie zdążę przed zmrokiem, ale im więcej przejdę przy świetle dziennym, tym mniej będę później błądził. Szybko schodzę grzbietem – najpierw kamienistym, potem z dołu zaczyna otaczać mnie kosodrzewina. Od czasu do czasu mijam wymalowany na kamieniu szlak, pojawiają się też kopczyki. Kosówka z wolna zacieśnia się wokół mnie i tu kolejny patent – przywiązane do gałęzi, żółte paski foliowe. To wszystko sprawia, że nie tracę czasu na wyszukiwanie właściwej trasy. Osiągam siodło pomiędzy Vilinacami i po chwili docieram na wierzchołek Małego Vilinaca. Tuż przed szczytem kopczyki oferowały dwa warianty – ja wybrałem ten bardziej widokowy. Schodzę na wąską przełączkę przed kolejną niewysoką kulminacją, ale tu już szlaku w żadnej postaci nie ma. Rozglądam się dookoła, ale bezskutecznie. Przychodzi mi do głowy myśl, że główna trasa omijała wierzchołek, ścinam więc w lewo i to okazuje się dobrym pomysłem – natrafiam na szlak.

Kilkaset metrów dalej znów nie wiadomo, gdzie szlak; nie wiadomo gdzie ścieżka. Staję nad lejem krasowym – od mojej strony kamienistym, po drugiej stronie bardziej zielonym. Baczne spojrzenie wykrywa nikły ślad ścieżki w tej zieleni. Może to moja? Schodzę do kociołka i rzeczywiście trafiam ponownie na szlak, którym wydostaję się z leja na jego drugi kraniec. Teraz jest już wyraźnie bardziej kosówkowo niż kamieniście, a szlak nawet w miarę dobrze wyznaczony. Szlak. O ścieżce powiedzieć tego nie można. Kilkakrotnie trasa przemyka w gęstej kosodrzewinie, gdzie grube gałęzie splecione są już na wysokości jednego metra, zostawiając przejście poniżej. Muszę więc się nisko pochylać, kucać i poruszać naprzód kaczuszką. Taki szlak bardziej dla kozic albo owiec. Spowalnia to marsz, a czas płynie nieubłaganie…

Wiem z opisu trasy, że czekają mnie jakieś drabiny w zejściu i zależy mi na tym, żeby je przebyć

c.d. str 2

WALNE ZEBRANIE 2011

Wydawało się, że będzie standardowo – sprawozdania – wybory – pączki. Jednak coś wisiało w powietrzu już od co najmniej kilku tygodni i okazało się, że będzie to miało swoje konsekwencje na Walnym.

Zebranie odbyło się w tym roku na wydz. Automatyki i Informatyki, a poprowadziła je Paskuda. Po formalnościach takich jak zatwierdzenie porządku obrad i wyborze komisji roboczych prezes Grzesiek Pasieka odczytał sprawozdanie Rady Koła, Grażka Tkocz sprawozdanie Komisji Rewizyjnej, a Jasiek Pizoń sprawozdanie Rady Chatki. W sprawozdaniach RK i KR zasygnalizowane zostały problemy dotyczące chatki oraz kursu oraz relacji między Kołem, a Klubem Chatkowym. O szczegółach Redakcja nie napisze – choćby dlatego, że MM jest dostępny publicznie, a sprawy, które zostały poruszone w sprawozdaniach powinny być rozpatrywane wyłącznie w naszym, harnasiowym gronie.

W każdym razie powróciła drażliwa sprawa chatki i sensu dalszego sprawowania nad nią opieki, lub objęcia patronatem. Ponieważ w praktyce już od 2 lat Koło nie ma żadnej kontroli nad chatką i nie ma możliwości decydowania o jej sprawach powstał wniosek o formalne zerwanie naszych więzów z chatką łącznie z usunięciem wszelkich kołowych symboli z chatki i chatkowych z miejsc związanych z Kołem – np. ze strony internetowej. Do wysunięcia tak daleko idących wniosków przyczynił się trwający od wielu miesięcy stan faktyczny, a języczkiem u wagi była ostatnia decyzja Rady Chatki o zmianie cennika i wprowadzeniu opłat nie tylko dla członków naszego Koła, ale również innych studenckich kół przewodnickich. Przypomnijmy, że koła te zwyczajowo nie pobierają opłat w swoich obiektach od członków bratnich kół. O decyzji tej Rada Koła dowiedziała się po fakcie i spowodowało to burzliwą dyskusję na kołowym forum internetowym.

W głosowaniu wniosek przeszedł znaczną większością głosów choć spora część uprawnionych wstrzymała się od głosowania. Można więc uznać, że chatka w Lachowicach lub jak niektórzy wolą na Adamach stała się zamkniętym rozdziałem w historii Koła. Dla wielu z nas, którzy znają to miejsce od ponad 30 lat i uznawali je za swoje jest to fakt na pewno przykry. Jednak w obecnej sytuacji był to chyba krok słuszny. Może w ten sposób uda się Kołu skupić na działalności czysto przewodnickiej, organizacyjnej i szkoleniowej oraz uporządkować sprawy zaangażowania członków Koła w działalność kołową oraz chatkową.

W tym roku nie było większych problemów z wyborem prezesa oraz Rady. Drobne problemy z wypisywaniem nazwisk kandydatów na tablicy miała jedynie Paskuda, która musiała w tym celu używać stołeczka oraz prezes, który dopisał własne nazwisko przy imieniu kandydującej do Rady Justyny.

Pewne emocje wzbudziły zgłoszenia kandydatów do Komisji Rewizyjnej. Na liście najpierw znalazła się Cieszynka, potem Nowy, a gdy zgłoszono do kompletu Nowszego, Nowy zrezygnował z kandydowania.

W rezultacie nowym **Prezesem** został **Bartek "kruczek" Cisowski** – przypomnijmy "kruczek" koniecznie przez małe "k".

Do **Rady Koła** weszły następujące osoby:

- Justyna Kołodziej
- Krzysztof Krawiec
- Michał Huchla
- Dominik Grzesiczek

W skład **Komisji Rewizyjnej** weszli:

- Małgorzata Skorupska
- Anna Pasek
- Maciek Antonik

Nastąpiło expose nowego prezesa, w którym zapowiedział on dokończenie prac nad powołaniem stowarzyszenia, skupienie się na przygotowaniu i realizacji nowego, rozszerzonego kursu oraz kontynuowanie działalności propagującej turystykę górską w środowisku studenckim.

Zebranie zakończyło się tradycyjnym spożyciem pączków i luźnymi dyskusjami w podgrupach.

Redakcja

Nowa Rada: od lewej Krzysztof Krawiec, Bartłomiej Cisowski, Justyna Kołodziej, Michał Huchla, Dominik Grzesiczek.

jeszcze zanim zapadnie zmrok. Zbliżam się powoli do wyraźnej wyrwy w grzbiecie, opadającym w moją stronę bliską pionu skałą – pewnie tam gdzieś czekają te drabiny. Wreszcie dochodzę pod samą ścianę i widzę pieczarę. Zaglądam ciekawie, ale ani śladu drabin nie widać. Cóż, widocznie w międzyczasie coś się zmieniło.

Teraz zejście jest bardziej strome, urozmaicone krótkimi podejściami na krawędzie kolejnych lejów krasowych. Słoneczna kula opada już na ciemne grzbiety gór, a za mną pojawia się srebrny dysk księżyca. Coraz trudniej wypatrzyć w zapadającym zmroku oznakowanie, ale jednak wciąż udaje mi się utrzymywać właściwy kierunek. Za wyraźnym przełamaniem doliny otwiera się jej daleki wylot. Tam już jest cywilizacja…

Jeszcze nikły ślad ścieżki, obramowanej skalnymi ścianami płytkiego wąwozu, po czym teren się rozszerza i zbliżam się do lasu. Tu jeszcze trzykrotnie udaje mi się natrafić na czerwone kółeczko, ale jest to raczej czysty przypadek, gdyż ścieżki nie ma ani na lekarstwo. Na szczęście las jest rzadki i daje się maszerować. Niestety, wkrótce roślinność gęstnieje i zaczyna się chaszczowanie. Najpierw niewielkie – ot, muszę odginać gałęzie, potem przeciskać się czasem między pniami młodych buków. Słońce już zaszło, ale jeszcze cokolwiek widać. Kluczę coraz bardziej i z coraz większą trudnością. Stopniowo zapadają ciemności oraz zmienia się charakter lasu. Buki ustępują miejsca jakimś sosnowatym. Ale cóż to za dziwaczne sosny?! Żadna nie rośnie prosto, tylko przypominają potężne, sięgające kilku metrów kiście kopru – wyrastają z ziemi prawie poziomo, po kilka z jednego miejsca, zaginając się ku górze. Do tego rosną bardzo gęsto, przeplatając się między sobą. Ani to obejść, ani się przez to przedrzeć. Stanowią naturalną, nieregularną kratę. Wchodzę na te ni to pnie, ni gałęzie, przeciskam się pomiędzy grubymi ramionami sąsiednich kiści, szarpię plecakiem, który się klinuje między nimi. Czasem noga się ześlizguje i zawisam na drewnianej kracie. Posuwam się po wykrzywionych pniach, zdając sobie sprawę, że chwilami znajduję się parę metrów nad ziemią. Wiewiórka czy co?! Chociaż, raczej małpa. Tylko – bardzo niezdarna małpa.

Nie wytrzymuję i zaczynam obdarzać ten las epitetami, szermując językiem godnym najgorszej speluny. Oczywiście, na sosnowatych koprach nie wywiera to najmniejszego wrażenia. Czasami zapycham się w miejsca tak gęsto zarośnięte, że muszę się wycofywać i próbować innego wariantu. Generalnie moja prędkość spada do kilku metrów na minutę. Ogarnia mnie wściekłość – w życiu jeszcze nie spotkałem takiego lasu. Wkładam niemały wysiłek w kolejne próby, pot zaczyna spływać ze mnie ciurkiem. Zagęszczenie nie dość, że nie maleje, to zdaje się jeszcze wzrastać. Zaczynam się czuć jak zagubione, bezradne dziecko. Walczę jeszcze przez chwilę, po czym opada mnie absolutna rezygnacja. Czuję totalne zniechęcenie i opanowuje mnie nieodparte wrażenie, że przez ten las to ja już jednak nie dam rady się przecisnąć. Opieram się o wygięty pień, osuwam powoli i klinuję pomiędzy gęstymi ramionami sosen. Uchodzi ze mnie cała para, głowa opada i dociera pełna świadomość mojej bezsilności. Znalazłem się w pułapce. Nie dam rady. Na zmęczenie fizyczne oraz psychiczne całego dnia nakłada się beznadzieja wobec potężnego, drewnianego okratowania. Nie mam woli ani sił dłużej walczyć…

Nie wiem, ile czasu minęło. Czas, życie, świat – wszystko zdaje się być gdzieś daleko, zupełnie nieobecne, nie mające ze mną nic wspólnego. Tak, jakbym się od tego wszystkiego uwolnił. Albo… jakby świat uwolnił się ode mnie.

Powoli jednak zaczyna wszystko wracać. W miarę, jak nieco ustępuje zmęczenie, myśli znów rozpoczynają swój spacer po strapionej głowie. Wciąż istnieje problem do rozwiązania – jak się stąd wydostać? Z powrotem? Bez sensu. Zapadły zupełne ciemności – cóż z tego, że wydostanę się z tego miejsca, do którego dotarcie kosztowało mnie tyle wysiłku. Nadal będę w punkcie zero, nadal będę z dala od cywilizacji, z dala od mojego domu na kółkach. Powraca niepokój związany z możliwym zaminowaniem terenu. Najchętniej bym zadzwonił po pomoc, poprosił jakieś służby o wydostanie mnie z tej pułapki. Ale gdzie?? Jakie służby?.. Poza tym – to dopiero byłby śmiech na sali – chłopczyk zgubił się w lesie… Nie oszukujmy się – muszę się stąd wydostać o własnych siłach. Żywy, czy umarły…

Wstaję z pewnym trudem, wyjmuję z plecaka czołówkę i zapalam. Niby coś widać, ale co? Same pnie i gałęzie. Nic to – jedyne rozsądne rozwiązanie, to konsekwentna próba przedarcia się przez to piekło. Zakładam, iż nie straciłem poczucia kierunku i wciskam się w najszerszą szparę, zbliżoną do zaplanowanego azymutu. Plecak od razu klinuje, ale szarpię nim i po chwili mam już metr drogi za sobą. Teraz po drzewnej pochylni kolejny metr w dół. Czas mija, znów pot spływa mi na oczy, ale kolejnych kilka metrów zostaje pokonanych. Następny krok i… niezbyt szczęśliwie postawiona stopa wpada gdzieś w głąb, czuję ból w kostce i daremnie szarpię, próbując się wydobyć z tych naturalnych wnyków. Ale to tylko przez moment – nadchodzi opanowanie i teraz spokojnie, powoli, obracając stopę minimalnie w lewo i prawo, stopniowo wyciągam nogę z potrzasku. Trochę boli, ale wszystko całe – to najważniejsze.

Staram się nie myśleć o niczym innym, jak tylko o każdym kolejnym kroku, o odpowiednim pochyle, o ściągnięciu plecaka, by założyć go ponownie za następnym przewężeniem. Nie kontroluję upływającego czasu, skupiam się na tej jednej, najważniejszej sprawie – do przodu! W którymś momencie dociera do mnie, że jest jakby łatwiej, gałęzie chyba rzadsze, łatwiej się teraz przeciskać. Czyżby?.. Rzeczywiście, zagęszczenie maleje. Piekielna krata wyra-

TO BYŁO

✔ w piątek 7.10.2011 o godz. 19:45 przyszedł na świat Krzyś Węgierek. Dane malucha: Apgar 10, 3280 g, 55 cm.

✔ 18.10 Grzesiek Pasieka opowiedział o swojej wakacyjnej podróży stopem po Bałkanach – Czarnogórze, Chorwacji i Bośni.

✔ 22-23.10 odbył się **Rajd Studenci Górom** pod hasłem „Nie jestem przesądny" z metą w bacówce SKPB na Hali Górowej.

✔ 25.10 Basia Zygmańska przedstawiła zdjęcia i opowiedziała o swoim obozie prowadzonym na Krymie.

✔ Córka Doroty Łukaszewicz i Przemka Padoła urodziła się w czwartek 27.10 o 22:24. Martynka, mama i tata czują się dobrze. Ponadto rodzice są przeszczęśliwi.

✔ 04-06.11 odbył się II termin egzaminu praktycznego, do którego podeszli: Aurelia, Marzena i Jacek. Pytali Kasia, Basia, Huchel i Staszek. Wynik 1:2. Zdał Jacek Łoszyk. Oto krótka relacja Staszka: „W piątek wieczorem pojechaliśmy do nowego PTSMu w Stryszawie, po drodze spacerując po Wadowicach. W sobotę jedna grupa podjechała do Grzechyni, a druga do Białki, po czym spotkaliśmy się na Malikowskim Groniu. Tu nastąpiła wymiana zdających i powrót do samochodów. Potem jedna grupa podjechała do Zawoi Podryzowanego, a druga do Markowej. Ponowne spotkanie i wymiana nastąpiły na Starym Groniu. Na nocleg pojechaliśmy do skansenu na Markowych Rówienkach, który zwiedziliśmy w niedzielę. Potem jeszcze krótki spacer z Krzeszowa na Żurawnicę i zakończenie egzaminu w knajpie w Jaszczurowej."

✔ 08.11 Tusia opowiedziała nam o swoich wakacjach na Bornholmie.

✔ 11-13.11 QRS v2.011 DEMO czyli wyjazd dla potencjalnych kursantów nowego kursu. Wyjazd prowadził prezes – Grzegorz Pasieka. Zaczęło się od bacowania na Lachów Groniu, potem była impreza 11.11.2011 o 11:11 na Jałowcu 1111 m. A potem nocleg na Lasku.

✔ 11-13.11 w długi listopadowy weekend spora grupa Harnasi spotkała się o 11:11 na Jałowcu z kursem DEMO, a potem część z nas pojechała w Beskid Sądecki, gdzie przetestowała z bardzo pozytywnym wynikiem prywatną chatkę pod Eliaszówką i spotkała się z jeszcze inną grupką Harnasi i przyległości.

✔ 18.11 Walne zebranie.

✔ 22.11 Żaba, Waldek i Jacek G. przedstawili prelekcję o wakacyjnym wyjeździe do Norwegii.

✔ Jasiek Pizoń i Natalia Paszek zdali egzamin państwowy na przewodnika beskidzkiego.

TO BĘDZIE

❁ 10-11.12 Kołowe Mikołajki w „Chatce u Rafała" na szczycie Potrójnej (nie mylić z chatką pod Potrójną). Zainteresowani proszeni są o zgłaszanie się do Rady oraz przywiezienie na imprezę drobnego (ok. 10 zł) upominku.

❁ Nowy kurs, który zacznie się na wiosnę 2012 r. poprowadzą trzej panowie: Staszek Wierzchowski, Jarek Rak i Grzesiek Pasieka.

❁ W skład Komitetu Organizacyjnego 45 lecia weszły trzy panie: Grażka Tkocz, Asia Śliwa oraz Gosia Skorupska.

źnie się rozluźnia. Jeszcze nie czuję radości, jeszcze obawy o tymczasowość zjawiska są zbyt wielkie. Jednak po kolejnych kilkudziesięciu metrach upiorny, zaczarowany las koprowatych sosen przechodzi do historii, zastępowany przez liściaste, drobne gałęzie młodych buków.

Gałązki smagają mnie po twarzy, ale nie są w stanie przyćmić wstępującej we mnie nadziei. Tym bardziej, że w dole, po lewej pojawia się jaśniejszy pas. Zmieniam lekko kierunek, dążąc w jego stronę i po chwili osiągam skraj lasu. Przede mną polana, opadająca w stronę widocznego w dole światła latarni. Ufff…

Niestety, kolejna przykra niespodzianka. Polana w całości zasłana jest ściętymi pniami, stertami gałęzi – następna niebyt łatwa do pokonania przeszkoda. Zmęczenie daje ostro znać o sobie – coraz mniej dokładnie stawiam kroki, coraz częściej tracę równowagę. Łapiąc się, czego popadnie, chwytam za gałązki jeżyn i zostaję przez nie stosownie do okoliczności potraktowany. Przedzieram się jednak uparcie w stronę światełka. Wreszcie z lewej otwiera się kolejna polana i to jest to! Tędy prowadzi wyciąg krzesełkowy i teraz mam już najzwyklejszą trawę pod stopami. Ostatnie dwieście metrów i pozostaje mi już tylko przeskoczyć przez szlaban, by poczuć pod stopami żwir drogi. Idę jeszcze kilkadziesiąt metrów i siadam na krześle przy wystawionych na zewnątrz stolikach jakiegoś baru.

Koniec wszelkich problemów. Ostatnia kwestia, to dotarcie do wozu, który powinien być jakieś pięć kilometrów stąd. Odpoczywam chwilę przy stoliku, po czym ruszam w ten ostatni etap dzisiejszej trasy. Najpierw do szosy, potem w którąś z bocznych dróg, starając się utrzymać kierunek. Ponad godzina mija jeszcze, nim znajdę się u celu. Klik zamka, syk otwieranej puszki i cudowny smak gorzkawego napoju. Jaka rozkosz!.. Wychylam duszkiem. Chętnie wypiłbym od razu kilka piw, ale zmęczony organizm dopomina się jak najszybszego wyciągnięcia kości. Zjeżdżam więc tylko na skraj parkingu, by nie spać pod samą bramą kościelną i ścielę posłanie, zagryzając przy tym kilkom ciastkami i popijając drugim piwem. Wprawdzie miałem zamiar podjechać dziś na nowe miejsce, ale nie spodziewałem się, że aż tyle czasu będzie mnie kosztowała ta trasa. Wszystko zostaje więc na następny dzień. A teraz już spać. Dobrej Nocy….

Wojtek Spała

HARNASIE NA WAKACJACH c.d.

Deszczową część lata przepracowałam, co jak wiadomo można już zaliczyć do wypoczynku :) Najpierw trochę wycieczek, potem trochę w szkółce leśnej, aż wreszcie pogoda zdecydowała się nieco poprawić. Na początek zabrałam dzieci i odwiedziłam koleżankę w Bornym Sulinowie. Nie było intensywnie... Jeziorko, lasy, podziwianie specyfiki tego miejsca i... szybko znalazłyśmy się w pociągu powrotnym.

Potem przyszedł czas na Mazury. Jak zwykle Węgorzewo, Mamry, łódki, żaglówka, spacery, wycieczki. Leniwie, uroczo, ale zróżnicowanie. Drogę powrotną odbyłam w samotności pociagiem Tour de Pologne (serio!), co zajęło mi 13 godzin i ustanowiłam w ten sposób nowy życiowy rekord.

Po wodnych przygodach należało wreszcie wybrać się w góry; Bogna dała się namówić i kolejny tydzień spędziłyśmy 6 kobiet i jeden Marcin w Krynicy Zdrój. Zdobyliśmy dzielnie Jaworzynę Krynicką, zawiedliśmy swoje oczekiwania w bacówce pod Wierchomlą, czym zakończyłyśmy górską karierę. Doskwierał nam upał, więc zwiedziliśmy słowacki Bardejov, polską kopalnię soli w Bochni, zamek w Nowym Wiśniczu i wymoczyliśmy się w chłodnym górskim potoku podziwiając cudne jedliny i rębnię przerębową (to ostatnie tylko ja...).

Kiedy większość ludzi pakowała worki i tornistry, my pojechaliśmy jeszcze nad morze do Wojskowego Domu Wypoczynkowego Unieście. Lato na szczęście nie odpuściło, za to turyści owszem, więc można było wypocząć spokojnie i bez tłumów.

A dziś (10.09.2011) dzień spędziłam w górach prowadząc wycieczkę. Nie była to zwyczajna wycieczka, choć trasa przebiegała pomiędzy Równicą a Ustroniem Dobką, ponieważ prowadziłam bliźniacze mamy z całej Polski, związane z bliźniaczym forum i stowarzyszeniem, które opiekuje się moją Małgosią. Muszę przyznać, że było to dla mnie spore przeżycie....

Helcia

◆)(◆♎◆)(◆

Ja w tym roku miałem kilka ciekawych wyjazdów wakacyjnych.

Najpierw byłem na rozbijaniu bazy na Przysłopie Potóckim. Na bazę przyjechałem rowerem z Bielska, zahaczając po drodze o Zagroń.

W lipcu przez tydzień byłem w Bieszczadach na obozie „Dziki San" prowadzonym przez Justynę. Później w jeden z sierpniowych weekendów odwiedziłem kolejny obóz prowadzony przez Justynę, tym razem w Beskidzie Żywieckim. Sierpień zamknąłem wyjazdem na zwijanie Przysłopu.

Kolejny weekendowy wyjazd na początku września był znowu rowerowy. Przejechaliśmy z Justyną z Myszkowa do Olkusza jadąc nieco zygzakiem.

Z ostatniego wakacyjnego wyjazdu wróciłem 3 dni temu. W 8 dni udało się nam przejechać spory kawałek Norwegii (samolot + stop). W sumie „zrobiliśmy" ok. 1500 km: z Sandefjord przez Oslo, Alesund, Andalsnes, Trollstiegen, Geiranger, Forde i Bergen do Stavanger. W Alesund byliśmy w Akwarium, widzieliśmy pingwiny i wykąpaliśmy się w oceanie. Później przejechaliśmy przez drabinę trolli, czyli Trollstiegen oraz Drogą Orłów do Geiranger, gdzie mieliśmy okazję przez góry, pieszo dotrzeć do Skagefla – drewnianych zabudowań opuszczonej farmy w górach, na przeciwko wodospadów Siedmiu Sióstr. Z Geiranger dobrzy ludzie wzięli nas do Forde, a dalej przejeżdżając przez Bergen dotarliśmy pod Stavanger. Ostatnią noc na norweskiej ziemi spędziliśmy w... ubikacji. Przytulna i przestronna toaleta (dla niepełnosprawnych) okazała się jak znalazł dla naszych przemokniętych głów. Ostatniego dnia postanowiliśmy wyskoczyć jeszcze w góry na słynną półkę skalną Preikestolen. Pogoda na wyjeździe: nie padało tylko jeden dzień, ale i tak 100% positiv.

A na początku sierpnia byłem na tygodniowym spływie Parsętą. Spływało nas w sumie 19 osób. Z Harnasi byłem ja, Justyna i Makak. Spływ się udał, ale Parsęta okazała się rzeką przeklętą, szczególnie w jej górnym odcinku. Jest absolutnie do granic możliwości zarośnięta. W nurcie rzeki jest więcej powalonych drzew niż wody.

Metzger

◆)(◆♎◆)(◆

Ja i Nowy wróciliśmy w sobotę 1 października, dosłownie prosto do pracy z Iranu. Zahaczyliśmy o Rygę, Erewań, kilka miast i wiosek armeńskich (przejazdem) oraz o kilka tureckich, a na koniec wypiliśmy kawę w Wiedniu. Zobaczyliśmy wiele ciekawych miejsc, ja byłam na weselu azerskim (Nowy nie, bo to był dzień tylko dla kobiet, a Nowy odpuścił obiad kolejnego dnia z facetami), wyleźliśmy na, jak do tej pory, najwyższy szczyt w naszej karierze ... mieliśmy drobne przygody z tamtejszą policją (mało rozgarniętą)....i cóż dużo by pisać...generalnie Iran polecamy – fantastyczni ludzie i niesamowity kraj... i jak już odwiedzę Pakistan, to mogę znów wrócić do Iranu (jak Nowy będzie chciał)

Aga M. „Cieszynka"

◆)(◆♎◆)(◆

Wakacje spędziliśmy w tym roku w Bułgarii (10 dni) i Grecji (2 dni). Zaczęliśmy górsko: najpierw 3 dni spędziliśmy w Rile (rejon Siedmiu Jezior oraz Musała), zahaczając też o Monastyr Rilski. Potem przenieśliśmy się w Pirin, gdzie w pierwszej kolejności zdobyliśmy Wichren. Niestety, tego samego wieczoru przyszło załamanie pogody, a ponieważ prognozy nie były zbyt optymistyczne, postanowiliśmy uciec trochę na południe. Co prawda planowaliśmy ten skok dopiero na ostatnie dni pobytu, ale pogoda nie dała

nam wyboru. Spędziliśmy więc najpierw jeden dzień w okolicach Melnika, zwiedzając sam Melnik, Monastyr Rożeński oraz podziwiając Piramidy Melnickie. Kontynuując drogę na południe, dotarliśmy do Grecji na Chalkidiki, gdzie spędziłśmy półtora dnia na słodkim lenistwie, kąpielach w morzu i tym podobnych przyjemnościach. Do Bułgarii wróciliśmy zwiedzając po drodze Saloniki, licząc, że 3 dni to wystarczająco dużo, aby nad górami znów świeciło słońce – jak okazało się później, byliśmy zbytnimi optymistami. Pobyt w Bułgarii zakończyliśmy 3-dniową pętelką po Pirinie, z czego jeden dzień lało jak z cebra, pół dnia usiłowało się jakoś poprawić, a półtora dnia oglądaliśmy bezchmurne, niebieskie niebo. W drodze do Polski zwiedziliśmy jeszcze szybko Skopje. Ogólnie wyjazd – mimo pogodowych perturbacji – bardzo udany, a wrażenia z Bułgarii bardzo pozytywne.

Asia w Rile naszczycie Dagma

Asia Śliwa

MYSZYCA STORY czyli kilka zimowych refleksji

Minął już prawie rok od ostatniego Bacowania Przedświątecznego, lecz dopiero teraz, tuż przed kolejnym bacowaniem Redakcja znalazła trochę miejsca, aby zamieścić krótki tekst inspirowany tamtym wyjazdem.

W sumie wydawało mi się, że niewiele ciekawego mogę napisać o tamtym wyjeździe. Ot, zajechaliśmy na Przysłop, weszliśmy na Jasień, wszystko było zgodnie z tradycją – zima jak trzeba, śnieg, mróz, kameralne towarzystwo, bigos … A nazajutrz piękna pogoda i powrót po własnych śladach do domu. Może trochę nietypowym „dodatkiem" było towarzystwo przygodnego turysty Bastka, który nie bardzo potrafił się zdecydować czy się z nami integrować, czy też izolować i w rezultacie wybrał to drugie, zaszył się w namiocie rozbitym na podeście w bacówce i nie wyszedł z niego nawet gdy ok. 11 dnia następnego opuszczaliśmy szałas.

Miałem zatem nie pisać relacji z bacowania, bo o czym tu pisać. Ale wracając któregoś dnia po pracy do domu rozmyślałem sobie o tym i owym, m.in. o tym jak względna potrafi być odległość i czas potrzebny na jej pokonanie. I o tym, że nawet powolne, ale konsekwentne jej pokonywanie – krok po kroku – zbliża nas do celu i pozwala ten cel osiągnąć. Ale trzeba też sobie uświadamiać, że te same 150 m. stąd do skrzyżowania, które pokonuję w jakieś 2 min., w górach na podejściu w kopnym śniegu może zająć 20 min. A jeśli będzie to trudna skalno – lodowa ściana – może i pół dnia. Myśląc o tym bylem tuż po lekturze książki Bonnatiego „Moje góry", w której autor opisuje wiele ekstremalnych sytuacji, z których trochę cudem, ale przede wszystkim dzięki niezwykłej sile, odporności i woli życia uchodził cało. Takie refleksje i lektury zawsze pobudzają w człowieku chęć do przeżycia czegoś – może nie podobnego – ale przynajmniej zbliżonego i skrojonego na własną, skromną miarę. I być może zwykłemu turyście – głównie beskidzkiemu – wystarczająco wiele wrażeń daje choćby taka skromna wycieczka jak nasze nocne, zimowe podejście na Jasień. Bo teoretycznie niby nic – znakowany szlak wiodący głównie lasem. W warunkach letnich jakieś 2 godz., zimą zapewne nieco więcej – zależnie od ilości śniegu. Na początek jakaś śmieszna górka – Myszyca. Potem powinna być rozległa przełęcz z niewielkim przysiółkiem, a potem właściwe podejście przez las na Jasień. Trasa znana mi nie tylko z mapy, ale i w praktyce. Jakieś 20 parę lat temu organizowaliśmy zimowisko na Przysłopie, a na przełęczy pod Myszycą, w małym szałasie urządziliśmy pamiętnego, bardzo udanego Sylwestra. Pamiętałem dojście zarówno ściśle szlakiem, który szedł niemal przez szczyt, jak i drogą obchodzącą szczyt od zachodu.

I mimo wszystko przy całej wiedzy, doświadczeniu i prostocie trasy – jak prawie zawsze towarzyszyła mi lekka niepewność i wątpliwości. Na dzień dobry postanowiłem porzucić szlak, który podejrzanie obniżał się zamiast podchodzić i poprowadziłem prosto w kierunku grzbietu. Już wejście w las zrodziło pewne wątpliwości – droga nieco się rozmywała, nie chciałem ciorać rodzinki po krzakach, wykonałem więc jakieś drobne sondaże. Nie zrażając się jednak wynalazłem w miarę wygodną ścieżkę, a potem drogę i wkrótce wyszliśmy na polany. Ale nie były to jeszcze polany za Myszycą. Cóż – czasem taka niewielka górka nie jest taka całkiem niewielka. Góry niemal zawsze, a zwłaszcza zimą i w nocy okazują się większe niż sobie wyobrażaliśmy, a cel wydaje się niewyobrażalnie odległy. I gdyby nie wiedza, doświadczenie i racjonalne podejście, to wrażenie byłoby pewnie przytłaczające i paraliżujące. I pewnie takie jest dla kogoś, kto w górach jest pierwszy raz i spotyka się z trudnościami, gubi szlak, jest coraz bardziej zmęczony.

11.11.2011, 11:11, 1111 n.p.m – Harnasie na szczycie Jałowca.

Naszego szlaku na polanie nie było, były za to płotki z drutu kolczastego, które nie zachęcały do pokonywania polany na wprost. Odbiłem w lewo pamiętając, że tam powinna być droga omijająca szczyt naszej Myszycy. I była.

Powoli zapadał zmrok, szliśmy na nartach, śniegu było raz dużo, a czasami zaledwie wystarczająco do poruszania się na deskach. Czas płynął, a gdzie tam jeszcze Jasień. Nasza droga po początkowym podejściu zaczęła się łagodnie obniżać. Kierunek był jednak raczej dobry, a wkrótce znalazł się też żółty szlak. Zdziwiło mnie jedynie, że zaraz potem skręcił on gwałtownie w prawo. Miałem cały czas wrażenie, że na przełęcz powinniśmy iść na wprost. A nuż coś pozmieniano z tym szlakiem i sprowadzi nas nie tam gdzie chcemy ? Trzymanie się szlaku też nie było całkiem proste, bo żółty kolor na oszronionych drzewach nie był zbyt widoczny, a ścieżek i dróg zawianych przez śnieg w zasadzie nie było. Zatem uważnie, ale bez problemów pokonywaliśmy kolejne metry i w końcu ukazała się polana. Przysiółek stał jak dawniej, a nikłe światełko i szczekanie psa wskazywało, że jest nadal zamieszkały. Świadczyła też o tym droga dochodząca z Lubomierza, którą przekroczyliśmy i która była porządnie odśnieżona.

Zatem pierwszy etap był za nami, choć zajęło nam to trochę czasu – chyba z 1,5 godz. A przecież to tylko głupia Myszyca. Za przełęczą powinniśmy wejść w las i teraz już stromiej do góry. Tyle, że na polanach szlaku nie widać, nie wiadomo też gdzie wchodzi w las. Pewnie, że można posondować, ale w kopnym śniegu, nawet na nartach zajmuje to trochę czasu i wymaga zmarnowania trochę sił. I znów ta względność warunków – latem banalna, wydeptana ścieżka, prowadząca jak po sznurku. Zimą, nocą, a gdyby tak … prószący śnieg zamienił się w śnieżycę i zamieć, a do tego przyszłaby mgła ? Mimo bliskości chałup i drogi, a w sumie nawet wsi, polana stałaby się nierealnie rozległa, pozbawiona punktów odniesienia, znalezienie szlaku jeszcze bardziej problematyczne. I choć to nie Mont Blanc, nie ściana Dru, ani Cerro Tore, tylko zwykła swojska Myszyca i Jasień, to w każdym z nas rodzi się w takich sytuacjach i chwilach irracjonalny niepokój i napięcie.

Nam nie było jednak dane walczyć z zamiecią, a szlak też wkrótce się znalazł. I tylko droga na Jasień znów rozciągała się w czasie i dłużyła. Ostatni drobny stres, to znalezienie szałasu. Na Jasieniu nie byłem jakieś kilkanaście lat. Tym niemniej wiem, gdzie zlokalizowany jest szałas i wiem, że powinien być widoczny ze szlaku. Nie mieliśmy też problemów z jego znalezieniem. Ale znów to pytanie – czy w zamieci, mgle, przy braku śladów nart przyjaciół, którzy przybyli wcześniej znaleźlibyśmy szałas równie szybko ?

Przypomina mi się bacowanie sprzed dwóch lat, gdy całą kilkunastoosobową grupą sondowaliśmy bezskutecznie Halę Cudzichową w poszukiwaniu szałasu. Racjonalnie rzecz biorąc zero niebezpieczeństwa – mimo zimy, mrozu, nocy, lekkiej mgiełki i lekko sypiącego śniegu – byliśmy w grupie osób znających góry, w niewielkiej odległości mieliśmy schronisko na Miziowej, byliśmy wyposażeni na tyle dobrze, że nawet biwak pod chmurką nie stanowiłby problemu. A jednak jakieś emocje towarzyszyły chyba wszystkim. I o tej rozbieżności między rozumem i racjonalną oceną, a emocjami, do których rzadko się przyznajemy chciałem napisać. Bo każdy ma swój Everest, swój Mt Blanc, czy jakąś tam swoją Myszycę.

Jacek Ginter